

Jan Młot (Szymon Dickstein)

Kto z czego żyje?

**Studenckie Koło Filozofii Marksistowskiej (Uniwersytet Warszawski)
WARSZAWA 2006**

„Kto z czego żyje?” Jana Młota (pseudonim Szymona Dicksteina) to opowiadanie popularyzujące w bardzo przystępny sposób główne treści marksizmu wyrażone w „Kapitale” Karola Marksa. Zostało napisane w 1881 r. podczas prac nad pierwszym polskim tłumaczeniem „Kapitału” (w których brał udział także Dickstein) i wydrukowane w tymże roku w warszawskiej drukarni Kowalewskiego.

Podstawa niniejszego wydania: „Pierwsze pokolenie marksistów polskich. Wybór pism i materiałów źródłowych z lat 1878-1886”, tom I, wyd. Książka i Wiedza, Warszawa 1962.

Czytaliście może, a jeżeliście nie czytali, toście pewnie słyszeli o książce angielskiej pt. *Pomoc własna*. Miała ta książka niesłychane mnóstwo wydań, przetłumaczono ją na wszystkie prawie europejskie języki, zachwycono się nią, wychwalano pod niebiosa.

W książce tej autor opisuje przykłady z życia rozmaitych ludzi, którzy z niczego dorobili się majątku, sławy, znaczenia. Z „niczego”, „własną pracą”, własnym sprytem zostali milionerami, bogaczami, panami. Tak przynajmniej opowiada autor tej książki (nazywa się on Smiles).

Wiecie, dlaczego tę książkę tak chętnie drukowano i sprzedawano w Anglii, dlaczego zrobiono tyle wydań, dlaczego ją tak chętnie tłumaczono?

W Anglii, jak i na całym świecie, robotnikom jest źle, bardzo źle, bardzo ciężko. Umierają z nich setki, tysiące z nędzy, z głodu, zupełnie tak, jakby to było w Warszawie, Lwowie, Krakowie, chociaż Anglia, jak mówią, jest najbogatszym krajem na świecie.

Toteż nic dziwnego, że i w Anglii robotnicy się skarżą, że się ruszają, że chcą bądź co bądź wyrwać z tego błota nędzy, w którym po uszy siedzą, i że niejeden sobie mówi: „Nie, tak dalek być nie powinno. Trzeba wszystko jakoś odmienić”.

– „Wszystko odmienić? Zaraz pozwolimy wam na to!” – myślą sobie bogatsi Anglicy, ci, którym ani głodno, ani chłodno i którzy właśnie niczego odmieniać nie potrzebują.

I zaczynają oni perswadować robotnikom, że wcale tak źle nie jest, że, co prawda, zginie czasami kilku robotników, ale to pewnie byli niezaradni ludzie, próżniacy; kto wie, pijacy może.

„Kto chce pracować, mówią oni, ten do wszystkiego dojdzie. Niech każdy tylko myśli o sobie, niech pracuje. Każdy człowiek może żyć, z bogacić się ze swojej pracy”.

Rozumiecie teraz, dlaczego tak chwalono tę książeczkę o „własnej pomocy”, dlaczego ją tłumaczono na wszystkie języki, dlaczego tyle jest innych książek, które cuda opowiadają o tym, co by to robotnicy mieć mogli, gdyby pracowali ciągle, pracowali bez wytchnienia. Dlatego że wszędzie są robotnicy, rzemieślnicy, którzy czują, że im źle, dlatego że wszędzie też są panowie, którym dobrze, w Anglii i Francji, w Niemczech i Polsce. Dlatego że wszędzie chcą, by robotnik najmniej myślał o tym, że wszystko trzeba odmienić – by uwierzył, że wasza bieda, że wasza nędza to najsprawiedliwsze rzeczy na świecie.

W tej oto książeczce chcę właśnie pogadać z wami o tym, czy to istotna prawda, co mówią panowie, czy to naprawdę każdy żyje ze swojej pracy, czy naprawdę każdy „własną pracą» może dojść do wszystkiego”.

I

„Każdy człowiek żyje ze swojej pracy”. Czy tak?

Na pierwszy rzut oka to jakoś istotnie wygląda, że tak. Bo naprzód tyle o tym mówią, piszą w gazetach, książkach, kurierach, ba! nawet słyszeliśmy o tym z ambon kazania. A potem, toć przecież, zdaje się, istotna prawda, że szewc żyje ze swej szewskiej pracy, krawiec z krawieckiej, nauczyciel z nauczycielskiej; fabrykant wszak także pracuje, jeżeli nie rękami, to głową, a nawet ministrowie, król, cesarz, ileż to oni napracować się muszą przy podpisywaniu rozmaitych papierów!

No! więc czy tak? Czy każdy człowiek żyje ze swej pracy?

Zdziwi to was zapewne niemało, kiedy wam powiem, że tak nie jest. Żaden człowiek nie żyje ze swej własnej pracy, nie tylko królowie i ministrowie, nie tylko fabrykanci i kupcy, ale nawet ogół pracujących, rzemieślników.

Gdyby np. szewc nie tylko robił buty, ale miał kawałek gruntu, na którym by siał sobie jarzyny, zboże, gdyby sam prządl, tkal i szył sobie odzież, gdyby, jednym słowem, wszystko, co mu potrzeba, robił we własnym domu, u siebie, wtedy moglibyśmy powiedzieć, że istotnie on żyje z własnej pracy.

I dawniej, przed kilkuset laty, to istotnie tak bywało – dawniej, kiedy to każde miasto miało dużo swoich własnych gruntów, a każdy prawie rzemieślnik był obywatelem miasta i miał do tych gruntów

prawo, wtedy to naprawdę rzemieślnicy wszystko, co im potrzeba było, przygotowywali u siebie, na swoim kawałku gruntu, i żyli naprawdę z własnej pracy.

Ale dziś, jak wiadomo, tak nie jest. Rzemieślnicy nie mają swego gruntu, a szewc na przykład może tylko robić buty i nic więcej jak buty. A butów ani jeść nie można, ani się nimi przyodzierać, ani spać na nich.

To samo możemy powiedzieć o krawcu, stolarzu, mularzu. Krawiec nie może ani jeść, ani pić swoich surdutów, ceglarski swych cegieł na obiad nie ugotuje. A o królach, ministrach i innych podobnych ludziach cóż powiem? Ci to nie tylko dla siebie nic zrobić nie umieją, ale jeść sami nie potrafią; trzeba im wszystko do gęby podawać.

Szewska więc tylko praca szewca nie nakarmi jeszcze, nie napoi; krawiecka krawca nie obuje.

Kto jeszcze najprędzej mógłby powiedzieć, że żyje z własnej pracy, to włościanin u nas. Ten przynajmniej chleb, mleko, jarzyny wyrabia u siebie w domu; wielu nawet to i całą odzież, chociaż ostatnimi czasy coraz rzadziej. Wiecie przecież, że i teraz już woli gospodyni kupić na rynku spódnice niż w domu ją uszyć, bo to i ładniejsze, i zgrabniejsze, i tańsze.

A co powiecie na to, że w innych krajach to nawet włościanie nic prawie z potrzebnych rzeczy w domu nie robią! Są tacy, co tylko wino hodują i nic więcej albo tylko len, albo tylko jarzyny – a wszystko, co im potrzeba do jedzenia i do ubrania, kupują na rynku.

Jak widzicie więc, to nikt albo prawie nikt nie żyje z własnej pracy. Szewc żyje z pracy krawca, mularza, stolarza, włościanina; krawiec żyje z pracy szewca, stolarza, włościanina; włościanin znowu po części żyje z pracy krawca, szewca, stolarza itd. Wszyscy ludzie żyją nie z własnej pracy, ale z cudzej, z pracy innych ludzi.

„Ależ każdy z nich pracuje” – odpowiecie na to – „każdy z nich, gdyby nie pracował, to nic by nie miał”.

To prawda. Dlatego też powiemy, nie – że wszyscy ludzie *żyją z własnej pracy*, ale że się z własnej pracy *utrzymują*.

Wiem, co byście mi na to zarzucić mogli. „Nie kijem go, to pałką. Nie żyją, ale utrzymują. Niby to nie wszystko jedno”.

Nie, nie wszystko jedno i zaraz wam wytłumaczę, dlaczego.

Jeżeliby szewc, krawiec, rolnik naprawdę *żył* ze swej pracy, gdyby, jak to dawniej bywało, miał wszystko, co mu potrzeba, u siebie, to mógłby być spokojny, że chociaż może mu być raz lepiej, drugi raz gorzej, ale że z głodu nie umrze i zawsze wyjdzie na swoim.

Ale teraz to zupełnie inaczej. Szewc robi tylko buty. Robi ich jak najwięcej i potem chce je sprzedać, jak każdy inny towar. Jeżeli kupca znajdzie, to dobrze. Sprzeda buty i będzie mógł kupić to, co mu potrzeba. A jak nie sprzeda? Jak mu powiedzą, że butów i tak dosyć, jak kupujący nie będą przychodzili do jego sklepu? To cóż wtedy? Czy buty ugotuje dzieciom na kolację, czy butami spłaci podatki, lichwiarza, bank itd.?

Otóż widzicie, że *utrzymywać* się z własnej pracy, a *żyć* z własnej pracy, to nie wszystko jedno.

Póki wszyscy ludzie przygotowywali wszystko, co im potrzeba było, we własnym domu, u siebie, póki sprzedawali mało swoich wyrobów, póty można było mówić, że z pracy swej *żyją*.

Ale od czasu, kiedy ludzie zaczęli coraz bardziej robić na sprzedaż, coraz więcej sprzedawać butów, zamków, stołów, odzieży, tj. w ogóle rozmaitych *towarów*, zaczęli też mniej pracować w domu na *siebie*, a więcej na *innych*. I doszło do tego, że szewc warszawski robi buty dla rosyjskiego rzemieślnika, angielski robotnik kuje gwoździe dla warszawskiego szewca, a amerykański kolonista wyrabia zboże dla angielskiego robotnika.

Od czasu więc, kiedy towarów coraz więcej na świecie, nikt nie robi dla siebie, ale wszyscy robią dla innych; nikt nie żyje z własnej pracy, ale z pracy cudzej, z pracy innych ludzi.

II

„Więc zgoda. Nikt nie żyje z własnej pracy, ale każdy się z niej utrzymuje, to już chyba rzetelna prawda!”

– No! no! Dużo o tym jeszcze dałoby się powiedzieć, ale zanim wszystko wypowiemy, musimy się zgodzić, że w tym powiedzeniu, że każdy *utrzymuje* się ze swej pracy, dużo jest racji.

Każdy utrzymuje się z *pracy*. Dlaczego z *pracy*? A dlatego, że kto chce sprzedać jakikolwiek swój wyrób, but czy surdut, szklankę czy nóż, zawsze będą oceniać wyroby jego według pracy i płacić będą według niej. Wytłumaczmy to zaraz bliżej.

Przypuśćmy, że szewc jakiś pracował nad butami dzień cały i dostaje później za te buty 10 łokci płótna. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Pracował, więc ma za to płótno.

Ale przedstawmy sobie na chwilę, że jest na świecie taki szczęśliwy kraj, w którym... buty spadają z deszczem. Takiego kraju nie ma, no... ale gdyby był? to, jak myślicie, dużo by płacono szewcowi za jego buty? Z pewnością – nic. Ludzie mówiliby tylko, że za buty nic płacić nie warto, że nie kosztują one *żadnej* pracy, że więc każdy je mieć może, i nasz szewc, żeby nie umrzeć z głodu, musiałby się wziąć do innej roboty.

I u nas, chociaż buty na drzewach nie rosną, jest dużo takich rzeczy, za które nic nie dostanie, które nic nie kosztują, dlatego że do nich nie potrzeba pracy, że w nich pracy nie ma wcale. Ani za wodę u źródła, ani za grzyby w lesie, ani za piasek w rzece nic nie płacisz, bo możesz je mieć bez pracy, bo one ludzkiej pracy nie kosztują.

Ale za to im więcej rzecz jaka ma w sobie ludzkiej pracy, tym więcej, jak to mówią, *ma ona w sobie wartości*, tym więcej dadzą za nią. Za łokieć płótna dają więcej niż za łokieć perkalu. Dlaczego? Dlatego że łokieć perkalu i prędej, i łatwiej zrobić, dlatego że mniej w niego trzeba włożyć pracy niż w łokieć płótna. Złoty łańcuszek droższy od metalowego – dlaczego? Czy dlatego, że złoto ładniej błyszczy, że jest cięższe? Nie, bo łańcuszek metalowy tak samo błyszczyć może i tyleż może ważyć, co i złoty, ale dlatego że złoto trudniej znaleźć, że trzeba dużo pracy, bardzo dużo, żeby je wydobyć z ziemi, że więc w łańcuszku ze złota więcej jest pracy niż w metalowym.

Dlatego też rzemieślnikowi każdemu, szewcowi, krawcowi, piekarzowi, kiedy płacą za buty, surdut, za chleb, płacą za pracę, która w tych butach, w tym surducie, w tym chlebie jakby siedziała. Jeżeli na zrobienie jednego bochenka chleba potrzeba godzinę pracy, a na zrobienie pary butów 10 godzin, to za parę butów dostać będzie można 10 bochenków chleba, bo praca zawarta w butach (albo, jak to mówią inaczej, wartość butów) jest 10 razy większa od pracy zawartej (albo od wartości) w bochenku chleba¹.

Jeżeli za łokieć sukna płaci się dukata, to dlatego, iż żeby go zrobić (to jest żeby wyhodować owce, strzyć wełnę, farbować sukno [itd.]), potrzeba tyle pracy, ile na zrobienie jednego dukata (na odszukanie złota, przywiezienie go, przetopienie itd.), np. 36 godzin. Za łokieć perkalu płacimy zaś tylko złotówkę, bo na wyrobienie go (na zasiew i sprzęt bawełny, utkanie, ufarbowanie) potrzeba 36 razy mniej pracy, tj. tylko jedną godzinę.

Oto dlaczego można mówić i pisać, że szewc, krawiec, stolarz, ślusarz, robotnicy w ogóle utrzymują się ze swojej *pracy*. Wszyscy oni robią rozmaite wyroby; wyroby te jako towary wnoszą na sprzedaż i tam płacą im tyle akurat, ile zawierały one w sobie pracy. Im więc który rzemieślnik pracuje więcej, im więcej włoży pracy do towaru, im więcej włoży do niego swoją pracą wartości, tym więcej dostanie przy sprzedaży, tym lepiej za towar zapłaci.

III

„A widzisz”, moglibyście mi teraz powiedzieć, „tyle mówiłeś złego o książce «Pomoc własna», a teraz mówisz to samo, co i ta książka, że im kto więcej pracuje, tym więcej zarobi”.

Poczekajcie, nie śpieszcie się z zarzutami, a posłuchajcie mnie jeszcze.

¹ Gdyby się kto was zapytał, co to jest *wartość* szklanki, buta, sukni, to z łatwością znajdziecie odpowiedź, że *wartość to jest praca*, która siedzi, która jest zawarta w tej szklance, w tym bucie lub w sukni.

Mówiłem wyżej, że im więcej rzemieślnik włoży pracy do towaru, tym więcej za niego dostaje. Szewc za buty o podwójnych podeszwach, elegancko zrobione, więcej dostanie jak za partacką robotę.

To prawda. Ale żeby nasz szewc mógł zrobić i wykończyć swoje buty, potrzebuje skóry, potrzebuje narzędzi, potrzebuje wynająć warsztat, a to kosztuje pieniądze. Ślusarz, jeśli chce robić zamki, także musi sobie wynająć warsztat, kupić narzędzia i musi żyć przez pewien czas, póki zamków swoich nie sprzeda, a na to znowu trzeba pieniędzy.

Jeżeli kto ma pieniądze, to dla niego nic. Urządzi warsztat, będzie wyrabiał towary i później będzie je sprzedawał stosownie do wartości, stosownie do pracy, która w nich zawarta.

Ale jak kto nie ma pieniędzy? Jak kto nie może założyć sobie warsztatu? Jak kto nie może wyrabiać żadnych towarów, bo ani sobie materiału, ani narzędzi kupić nie może? To cóż wtedy? Co wtedy będzie, jeżeli, jak to się najczęściej dzieje, ten człowiek nie ma i nie może się od nikogo spodziewać pomocy – a żyć przecież musi, musi jeść, pić, ubierać się, mieszkać. Świat teraz tak urządzony, że żeby coś kupić na rynku, czy pokarm, czy odzież, potrzeba mieć albo pieniądze, albo towar jakiś do sprzedania. Nasz robotnik pieniędzy nie ma, towarów mieć nie może, więc żeby żyć, żeby jeść, *musi sprzedać siebie*, musi zostać najemnikiem, niewolnikiem – musi pójść na robotę do innych.

Jak to sprzedać siebie? jak to być niewolnikiem? – zapytacie mnie pewno. Toć przecież pracować w fabryce, pracować u majstra to jeszcze nie niewola. Czy czeladnik, czy robotnik fabryczny zawsze to ludzie wolni, pracują u kogo im się podoba i póki im się podoba, i nikt nie ma prawa im rozkazywać.

Wiemy, znamy my tę wolność. Wiemy o tym, jak majster czeladnikami pomiata, wiemy o tym, jak w fabryce tysiące robotników klaniać i uginać się muszą przed lada jakim pisarczykiem. A czy śmiać oni kiedykolwiek odezwać się głośniej, na grubiaństwo odpowiedzieć grubiaństwem? A czy odezwą się z głośniejszym słowem, kiedy im fabrykant płacę obniży albo z tygodniowego zarobku coś urwie? Nie ośmielą się nigdy, bo są niewolnikami, wiedzą, że jeżeli fabrykant z batem nad nimi nie stoi, to stoi nad nimi głód, straszniejszy od bata.

Człowiek, który pracę swoją sprzedaje, wolnym być nie może. Musi on mieć pana i ma pana nad sobą. Wolni są tylko ludzie, co siebie sprzedawać nie potrzebują. To trudno! Robotnik pracuje w fabryce, bo musi, bo swoich narzędzi pracy nie ma, słucha swego fabrykanta, bo musi, bo fabrykant ma dwóch potężnych sprzymierzeńców: wojsko i rząd naprzód, a potem głód! Z takimi wrogami trudna walka, to prawda; trudniejsza jeszcze wygrana; ale i to prawda, że robotnicy u nas dotychczas prawie walczyć nie próbowali.

IV

Niewolnikiem czy nie niewolnikiem to wszystko jedno, moglibyście odpowiedzieć. Nam nie chodzi tu o to, kto niewolnik albo kto wolny, ale o to, żeby się dowiedzieć, czy to prawda, że każdy utrzymuje się ze swojej własnej pracy, czy to prawda, że własną swoją pracą można dojść do czegoś, do majątku.

– A toście dopiero w gorącej wodzie kapani! Nie śpieszcie się. Powoli dojdziemy i do tego. Musimy się przecież nad każdą rzeczą należycie zastanowić.

Jesteś rzemieślnikiem, mój czytelniku, ślusarzem, krawcem czy szewcem albo też wyrobnikiem, pieniędzy nie masz, warsztatu ani narzędzi urządzić sobie nie możesz i idziesz na ulicę sprzedawać siebie. Po dłuższym albo krótszym szukaniu znajdziesz nareszcie majstra lub fabrykanta, który ciebie kupuje.

Jak myślisz, czytelniku, na co on ciebie kupuje? Czy dla twoich pięknych oczu? Wszak nie? To może dlatego, że się nad tobą zmiłował, że chce ci w biedzie dopomóc? I o tym wiesz dobrze, że nie. Kupił cię dlatego, bo wie, żeś robotnikiem, że umiesz i możesz poruszać warsztat, że umiesz i możesz kuć młotem, że umiesz i możesz klepać podeszwy, jednym słowem, *dlatego że masz siłę roboczą*.

Kupując cię majster lub fabrykant myśli jedynie o twojej sile i umiejętności. Gdybyś nie miał tej roboczej siły i umiejętności, toby cię nikt za darmo nawet do siebie nie przyjął. Jemu ta twoja *siła* potrzebna, i bardzo potrzebna. Cała rzecz tylko, ile za tę siłę roboczą zapłacić. W tym sęk. Bo to żadna sztuka wiedzieć, ile zapłacić potrzeba za szklanę, but, koszulę. Oblicza się po prostu, ile godzin zajęła

praca około tych rzeczy². Dajmy na to, że na zrobienie szklanki (wystawienie huty, topienie szkła, wydmuchiwanie szklanki itd.) użyto pół godziny pracy, na zrobienie butów (garbowanie, krajanie skóry, szycie butów itd.) 20 godzin, na zrobienie talerza godzinę. Przypuśćmy dalej, że w naszym kraju za godzinę pracy płaci się zwykle złotówkę albo że w srebrnej złotówce jest także godzina pracy. Nietrudno teraz znaleźć, ile kosztuje szklanka – pół godziny pracy, więc pół złotego; but – 20 godzin, więc 20 złotych; talerz – godzinę pracy, więc złotówkę.

Ale jak to obliczyć, ile kosztuje człowiek, ile zapłacić za jego siłę? Czy to się godzi oceniać człowieka jak towar?

Godzi się czy nie godzi, o to mniejsza; dosyć, że istotnie siłę człowieka oceniają tak, jak towar. Przypuśćmy, że kupują robotnika, to jest jego siłę roboczą, na jeden dzień. Przypuśćmy dalej, że ten robotnik, żeby mógł żyć i pracować, żeby mógł podtrzymywać swoją roboczą siłę, musi wydawać wszystkiego 6 zł dziennie albo (jeżeli złotówka ma tę samą wartość, co godzina pracy) 6 godzin. Jeżeli po dniu przepędzonym przy pracy nasz robotnik dalej chce pracować, to żeby odświeżyć swoje siły, żeby na nowo wytworzyć swoją siłę roboczą, musi wydać 6 godzin pracy (na jedzenie, ubranie, mieszkanie itd.). Możemy więc powiedzieć, że wytworzenie jego siły kosztuje 6 godzin pracy albo inaczej, że jego siła robocza kosztuje 6 godzin pracy, że wartość jego siły roboczej wynosi 6 godzin pracy³.

Pan fabrykant wie o tym dobrze, że siła robocza warta 6 godzin pracy, to jest tyle, ile 6 talerzy albo 12 szklanek, albo trzecia część pary butów, i płaci swemu robotnikowi za jego siłę, jak za każdy inny towar, 6 złotych.

Robotnik więc dostaje za swoją siłę roboczą tyle akurat, ile mu potrzeba na wyżywienie.

Ale powróćmy jeszcze raz do naszego pytania: po co fabrykant kupuje siłę robotniczą?

Bo że robotnik ją sprzedaje, to rozumiemy. Głód silniejszy od wszystkiego, nawet od wrodzonego każdemu człowiekowi uczucia swobody, silniejszy nieraz od wstydu. Przecież z pewnością szczęścia nie zazdrościmy tym nieszczęśliwym dziewczętom, co na ulicę wychodzą, by swe ciało sprzedawać. Czyż to nie głód je zmusza do upadku?

Nie chcę ja tutaj porównywać upadającego rzemieślnika upadłej dziewczyny z uczciwą pracą rzemieślnika, który swą pracę sprzedawać musi, ale musicie przyznać, że pewne podobieństwo między nimi istnieje.

Więc po co majster kupuje roboczą siłę robotnika? Czy żeby się nią bawić? Nie! Więc po co?! Po to, że chce zarobić, chce z bogacić się „własną pracą”, jak mówi autor *Pomocy własnej*.

Żeby sobie jasno wytłumaczyć, na co fabrykant kupuje siłę robotniczą, weźmiemy sobie kilka przykładów, które najlepiej rzeczy wyjaśniają.

Przypuśćmy, że ktoś zakłada fabrykę, która bawełnę przerabia na nici. Przypuśćmy, że kupił bawełny za 14 000 złotych, że kupił maszyny za 800 zł, że 240 zł użył na węgiel do parowej maszyny, na gaz i na inne dodatki i że puścił w ruch swoją fabrykę. Widzimy więc, że wydał on 15 040 złotych na założenie fabryki. Jak myślicie, po co on fabrykę porusza? Oczywiście dlatego, że chce swoje nici sprzedać

² Moglibyście mi tutaj powiedzieć: „Zmiłuj się, człowieku, cóż ty pleciesz? któż to oblicza godziny pracy, które w towarach siedzą? Przecież nie ma nigdzie takich urzędników, co by się tym zajmowali, nikt przecież nie może taksy wyznaczyć na towar i każdy za swój towar dostaje tyle, ile może”.

To prawda! urzędników nie ma, nikt się nie zajmuje obliczaniem, ale to obliczanie robi się samo przez się. I oto w jaki sposób. Jesteś np. szewcem, zrobiłeś parę butów, w których jest 40 godzin pracy, albo inaczej mówiąc, których wartość jest 40 godzin, jeżeli więc godzina pracy wynosi złoty, warte są one 40 zł. Tobie tego mało. Żądasz 80 zł. I być może, że z początku naprawdę płacić ci będą 80 zł. Ale zaraz znajdą się inni szewcy, którzy sprzedawać będą taniej od ciebie, za 60, 50, a nareszcie 40 złotych i zmuszą i ciebie doniżenia ceny, do sprzedawania twoich butów według wartości.

Zdarzyć się też może, że tyle sprzedano już butów, że za twoje buty nikt ci nie da 40 zł, ale tylko 35, 30, wtedy ty przestaniesz robić buty, poczekaś lepszych czasów, póki znowu za buty według wartości ci nie zapłacą.

Widzicie więc, że chociaż nikt nie oblicza godzin pracy, ale zawsze za towar dają mniej więcej tyle, ile on wart, zawsze jego *cena* (to jest to, co płacą za towary) nie może być ani o wiele wyższą, ani o wiele niższą od *wartości* (tj. od ilości godzin pracy zawartej w towarze).

³ Pamiętajmy więc, że wartość siły roboczej wynosi tyle godzin pracy, ile potrzeba na wyżywienie robotnika.

drożej, niż zapłacił za bawełnę, maszyny, gaz; i oczywiście, że kiedy nareszcie dostanie z bawełny nici, to nie sprzeda ich za 15 040 złotych, ale będzie chciał dostać więcej, np. 20 000.

Chcieć to nie dosyć jeszcze. Idzie tu o to, żeby naprawdę mu dano 20 000. Ale czy mu dadzą, to jeszcze pytanie.

Gdyby mógł się stać taki cud, żeby maszyny przędły bawełnę bez pomocy robotnika, i gdyby nasz fabrykant zaniósł do kupca swoje nici i wtedy zażądał 20 000, to kupiec odpowie mu po prostu tak: „W twoich niciach jest naprzód wartość bawełny, tj. 14 000 zł, albo (jeżeli na zrobienie złotego potrzeba godzinę pracy) 14 000 godzin pracy; potem wartość maszyn, tj. 800 zł, albo 800 godzin pracy, potem wartość węgla, gazu itd., tj. 240 zł albo 240 godzin pracy. Razem 15 040 godzin pracy. Twoje nici więc warte są 15 040 zł, ani grosza więcej, ani grosza mniej, i więcej jak 15 040 zł za nici nie dam”.

Czy nasz fabrykant kontent byłby z takiej odpowiedzi – nie wiemy. Wiemy tylko, że do dziś dnia maszyny same działać nie mogą i że na szczęście fabrykanta – do maszyny potrzeba jeszcze ludzkiej pracy. Fabrykant to rozumie, wynajmuje, dajmy na to, 100 robotników i płaci im za ich roboczą siłę, jak za towar, po 6 zł.

Robotnik, wynajęty za 6 złotych dziennie, wie, że wynajęto go nie po to, żeby się na niego patrzeć, więc czyści bawełnę, przędzie, zwija motki itd., jednym słowem, pracuje, dokłada do bawełny swoją pracę. Po pierwszej godzinie dołożył do niej jedną godzinę pracy albo powiększył jej wartość o godzinę, albo o złoty (jeżeli złotówka warta godzinę pracy), po 2 godzinach powiększył jej wartość, dodał do niej 2 godziny albo 2 złote wartości, po 3 godzinach – 3 złote wartości i wreszcie po 6 godzinach pracy dołożył 6 złotych wartości, to jest akurat tyle, ile fabrykant za jego siłę zapłacił. Tak więc robotnik po 6 godzinach pracy zupełnie odrobił swoją zapłatę. Tak pracuje on cały tydzień, a po tygodniu fabrykant zabiera nici, znosi je na rynek i żąda znowu 20 000 zł.

Ile chcesz za nie? 20 000 zł – mówi kupiec – to za wiele! Czy ty myślisz, że w tych niciach naprawdę jest za 20 000 zł wartości? Gdzie tam! zrób z nami obliczenie. Jest w niej, jak widzisz, za 14 000 zł bawełny, za 800 zł maszyn, za 240 zł węgla i oprócz tego jest jeszcze pracy ludzkiej: 36 godzin (jeżeli każdy robotnik pracuje 6 dni w tygodniu po 6 godzin dziennie) pomnożone przez sto (bo było 100 robotników), czyli 3 600 godzin. Razem: 14 000 godzin, 800 godzin, 240 godzin, 3 600 godzin, czyli 18 640 godzin. Możemy więc dać ci 18 640 zł, ani grosza więcej.

– Jak to? Toż przecie ja nic nie zarobiłem, przecie właśnie wydałem na nici i inne wydatki 18 640 zł. Gdzież mój dochód? Więc po cóż prowadziłem fabrykację? Cóż mi z niej przyszło? Po cóż mi ta cała komedia?

Istotnie, dochodu by nie było, fabrykacja nie opłacałaby się, gdyby nasz fabrykant nie wpadł na pomysł. Robotnikom swoim, którzy po 6 godzinach odrobili swoją płacę roboczą, każe pozostać w fabryce i pracować dłużej.

– Jak to? – mogliby powiedzieć robotnicy – każesz pan pracować dłużej, a wszak myśmy swoją płacę już odrobili; dodaliśmy do bawełny tyle wartości, ile kosztowała nasza siła robocza.

– Co wy mi tam gadacie! Ja was kupiłem, ale nie waszą siłą roboczą, kupiłem was na dzień i mogę z wami przez ten dzień robić, co mi się spodoba. Nie rozprawiać, a pracować.

I robotnicy, którzy po 6 godzinach pracy powinni by wyjść z fabryki, odpoczywać, używać przechadzki lub pracować na siebie, zostają dłużej i pracują jeszcze 6 godzin. Fabrykant dodaje im bawełny, dokupuje maszyn i węgla. Robotnicy po każdej godzinie swej pracy dokładają do tej nowej bawełny nową wartość, a po 6 godzinach zapłaconych każdy z nich dodaje 6 nowych godzin wartości. Rozumie się, że ta nowa wartość nic już nie kosztuje fabrykanta, że jest zupełnie darmowa. Jeden robotnik dodaje tym sposobem 6 zł wartości; 100 zaś robotników dokłada przez jeden dzień 600, a przez tydzień 3 600 zł wartości.

Jeżeli teraz nasz fabrykant sprzedać zechce tę drugą połowę swych nici, to ileż za nią dostanie? Oczywiście, że znowu 18 640 zł, czyli 18 640 godzin pracy, ponieważ w niciach będzie wartość nowej bawełny (14 000), wartość nowych maszyn (800), wartość nowej ilości węgla i gazu (240) i 3 600 godzin pracy robotniczej nie zapłaconej przez fabrykanta, dodanej przez robotników *darmo*. Teraz już chętnie

ustąpi fabrykant za cenę 18 640 zł swoje nici, bo nie kosztowały go one tyle, ale tylko 15 040 (14 000 bawełna, 240 węgla, 800 maszyny). Teraz to fabrykacja już się opłaca.

Zrobimy teraz ostateczny rachunek. Nasz fabrykant wydał na bawełnę dwa razy po 14 000 zł, tj. 28 tys., dwa razy po 800 na maszyny i dwa razy po 240 zł na węgiel i zapłacił 100 robotnikom za 6 dni 3 600 zł. Razem wydał 33 680 zł. Dostanie zaś za pierwszą połowę nici 18 640 i za drugą również 18 640, razem 37 280 zł, ponieważ kupujący liczy, że fabrykant za każdą partię nici płacił robotnikom. Ma więc nasz fabrykant 3 600 zł dochodu.

A skąd powstał ten dochód? Oczywiście stąd, że za robotę przy drugiej połowie bawełny nic nie zapłacił robotnikom, że *robotnicy drugą połowę swej pracy oddali mu darmo*, że na 3 600 opłaconej pracy dołożyli do bawełny 3 600 godzin nie opłaconej, a zatem że do tej bawełny dodali 3 600 godzin nie opłaconej, dodatkowej wartości albo, jak to mówią, 3 600 godzin *nadwartości*⁴.

Teraz wiemy już, po co fabrykant wynajmuje robotników. Po to, żeby z *ich* pracy mieć dochód, żeby od nich zabierać nadwartość.

Skąd więc ma nasz fabrykant bawełny swój dochód? Czy z własnej pracy? Oczywiście, że nie. Więc z cudzej? Tak, z cudzej pracy, z pracy robotników.

Robotnicy pół dnia pracują tylko na siebie, drugie pół dnia na fabrykanta, pół swego życia pracują dla siebie, dla swojej rodziny, dla swoich – a druga połowa życia idzie na to, żeby fabrykant mógł mieć dochód ze swej bawełny, by mógł zbierać nadwartość.

To, cośmy tu o fabrykancie bawełny powiedzieli, da się powiedzieć o wszystkich majstrach i fabrykantach na świecie. Wszyscy oni kupują robotników, wszyscy kupują ich *siłę roboczą*, ale po to tylko, by z *ich* pracy korzystać, by kazać im pracować dłużej, niż potrzeba, i tym sposobem się z bogacać.

V

Musicie się przecie zgodzić, że w tym, co dotychczas mówiłem, dużo jest racji. Moglibyście mi tylko jedno powiedzieć, że ten przykład z fabryką bawełny to jakoś niezupełnie prawdopodobny. Gdzie to słyszano, żeby maszyny kosztowały tylko 800 zł albo żeby za bawełnę tylko 14 000 zł płacono?

Jest w tym, co wy mówicie, dużo racji. Te liczby, które były podane w tym przykładzie, wybrano po to, by łatwiej tę nadwartość wyjaśnić. Ale teraz dam wam prawdziwy przykład z życia i cyfry będą w nim tak dokładne, że nikt nie będzie mógł im zaprzeczyć.

W Anglii, jak każdemu wiadomo, przerabiają bawełny ogromnie wiele⁵. Od dawna już istnieją tam ogromne fabryki poruszane parą, od dawna już robotnicy przestali żyć z własnej pracy i musieli ją sprzedawać, zejść na zwykłych najemników, od dawna już cierpią i głód, i nędzę. Za to fabrykanci bogacą się i niezłe mają wcale dochody.

Otóż jeden z takich fabrykantów bawełny wydał na swoją fabrykę 895 tys. złotych i po roku sprzedał nici i dostał za nie 1 060 000 zł. Ma więc zysku 165 tysięcy złotych, czyli 18 procent. Wiecie, że to jeszcze wcale nie dużo, bo wszak i u nas są fabryki, np. cukrownie, które dają 40, 50, a nawet i więcej procent dochodu.

Zobaczmy, skąd nasz fabrykant dostaje ten dochód. Żeby zaś lepiej się przypatrzeć, porachujemy, ile wydaje on tygodniowo na fabrykację.

Fabryka, o której mówimy, ma 10 000 wrzecion, poruszanych za pomocą maszyny parowej. Jedno wrzeciono (rozumie się przy pomocy robotnika) może uprząść 1 funt nici tygodniowo. Wrzeciono jest 10 000 – więc fabryka może zrobić w ciągu tygodnia 10 000 funtów nici. Ale żeby zrobić 10 000 funtów nici, potrzeba kupić bawełny więcej niż 10 000 funtów, bo zawsze dużo bawełny traci się przy fabrykacji. W naszej fabryce muszą kupować 10 600 funtów bawełny, bo 600 się traci. Funt bawełny kosztował w Anglii (1871 r.) 1 zł 9 gr, a więc na bawełnę trzeba było wydać 10 600 razy po 1 zł 9 gr, czyli 13 780 zł.

⁴ Więc cóż to będzie *nadwartość*? Nadwartość jest to ta wartość, którą robotnicy dokładają do wyrobu ponad to, za co otrzymali swą płacę roboczą, a zatem – jest to *nie opłacona praca robotnika*.

⁵ W 1873 r. w Anglii przerobiono 1 264 milionów funtów bawełny za pomocą 33 500 000 wrzecion.

Żeby z tej bawełny otrzymać nici, potrzeba maszyn, rozmaitych pomocniczych materiałów i pracy robotniczej. Maszyny, tj. wrzeczona wraz z machiną parową, kosztują 400 tys. zł. Ale kiedy maszyny raz już kupione, to nie zużywają się one od razu, ale mogą służyć przez 10 lat. Wypada więc, że roczny wydatek na maszyny nie będzie 400 tys. zł, ale 10 razy mniejszy, tj. 40 tysięcy, a tygodniowy wydatek (jeżeli w roku 50 tygodni) 50 razy mniejszy od 40 tys., czyli 800 zł. Dalej, do maszyn potrzeba kamiennego węgla (dla ogrzewania kotła), oleju (dla smarowania osi). Potrzeba prócz tego gazu do oświetlania fabryki itd. Otóż węgiel w naszej fabryce kosztuje tygodniowo 164 zł, gaz 40 zł. Za wynajęcie lokalu fabrykant płaci 240 zł tygodniowo. Razem wszystkie tygodniowe wydatki (tj. bawełna, węgiel, gaz, mieszkanie, olej itd.) wynoszą 15 230 zł. Wszystkie te jednak materiały nic nie dadzą, póki nie będzie robotników. Fabrykant wynajmuje więc 135 robotników (każdy z nich dogląda 74 wrzeczion) i płaci im za ich siłę roboczą tyle, ile potrzeba na wytworzenie tej samej siły, czyli innymi słowy, ile potrzeba robotnikowi na przeżycie (pokarm, odzienie, mieszkanie itd.). Przypuśćmy, że potrzeba 2 i pół zł dziennie albo 15 zł tygodniowo. Wszystkim więc robotnikom będzie się należało 2 025 zł tygodniowo.

Gdyby robotnicy pracowali tylko dla siebie, to jest gdyby oddawali fabrykantowi i dokładali do bawełny tylko tyle wartości, ile sami wzięli u fabrykanta płacy roboczej, to byłoby bardzo łatwo obliczyć, ile powinny kosztować wyrobione przez nich w ciągu tygodnia 10 tys. funtów nici. Istotnie, w tych niciach powinna się zawierać: 1) wartość zużytej bawełny (13 780 zł⁶), 2) wartość maszyn (800 zł), 3) wartość węgla (164 zł), 4) wartość oleju (164 zł), 5) wartość gazu (40 zł), 6) wartość rozmaitych dodatków (40 zł), 7) wartość mieszkania (240 zł) i nareszcie 8) zużyta przez robotników i zapłacona praca (2 025 zł). Razem 17 250 zł, okrągło licząc. A zatem 10 000 funtów nici powinny by kosztować 17 250 zł, a 1 funt 10 000 razy mniej, czyli 1 złoty 22 grosze (prawie).

Tymczasem nasz fabrykant za funt nici dostaje nie 1 zł 22 grosze, a 2 zł groszy $1\frac{1}{4}$, a za 10 000 funtów (10 000 razy tyle) przeszło 20 400 zł, to jest o 3 150 złotych więcej, niż obliczyliśmy. Jeżeli naszemu fabrykantowi dano o 3 150 zł więcej, to oczywiście dlatego, że w nich zawarta jest nowa wartość, której poprzednio nie było, a którą dołożyli robotnicy z własnej swej, nie opłaconej pracy.

Widzimy więc, że 3 150 zł dochodu powstały z nie opłaconej pracy, z nadwartości przez robotników dostarczonej. Robotnicy ci dostali od fabrykanta 2 025 zł za tygodniową pracę. Przez ten tydzień jednak nie tylko odrobili swą własną płacę, ale dołożyli do bawełny 3 150 zł nie opłaconej pracy. Na 2 025 zł opłaconej dali więc oni 3 150 zł fabrykantowi nie opłaconej pracy. Każdy z robotników dostaje więc dziennie 2 zł 15 gr i nie tylko oddaje je, powiększając wartość bawełny, ale dokłada jeszcze nowej wartości (nadwartości) 3 zł 27 gr. Nie opłacona więc praca przeszło półtora raza dłużej trwa niż opłacona; robotnik półtora raza dłużej pracuje na dochód fabrykanta niż na siebie.

Nadwartość przeszło półtora raza jest większa od zapłaconej pracy albo, jak to mówią inaczej, *stopa nadwartości* jest 1 i pół (albo 150 procent)⁷.

Zdaje się, że teraz przekonałem was zupełnie, że nie wszystkie dochody z własnej pracy pochodzą. Widzieliśmy przynajmniej, że fabrykant ma dochód z cudzej, ale nie z własnej pracy.

– Tak, fabrykant – ale to jeszcze nie wszystko; są jeszcze majstrzy, obywatele ziemscy, urzędnicy, kupcy itd. itd. Co też ty nam o nich powiesz?

– Powoli, a przyjdziemy do nich wszystkich. Zaczniemy od majstrów.

Wiecie o tym dobrze, że dziś całe warszawskie obuwie robi się w prywatnych warsztatach, w których majster roboty dogląda, czeladnicy zaś pracują za zapłatę, a terminatorzy darmo. Że majster na terminatorzkiej pracy zarabia, że z niej korzysta, to o tym chyba małe dzieci wiedzą. My tu chcemy mówić o „opłaconej” robocie czeladnika.

⁶ Przypominam wam tutaj, że kiedy się mówi, że wartość bawełny jest 13 780 zł, to się mówi błędnie. Właściwie potrzeba mówić tak: W bawełnie tej jest tyle wartości albo, inaczej, tyle pracy ludzkiej, ile jej potrzeba na zrobienie 13 780 zł (nie papierowych, ale srebrnych złotych). Kiedy się mówi, że bawełna warta 13 780 zł, to tylko dla skrócenia.

⁷ *Stopą nadwartości* jest więc stosunek pomiędzy nie opłaconą a opłaconą pracą. Jeżeli robotnik 4 godziny pracuje na siebie, a 8 na kapitalistę, to nie opłacona praca jest dwa razy większa od opłaconej, a stopa nadwartości jest 2 albo 200 proc., jeżeli 6 godzin pracuje na siebie, a 6 na kapitalistę, to stopa jest 1 albo 100 proc. itd.

Wiecie, jak ciężka jest praca szewca. Na stołku zgarbiony czeladnik w dusznej ciemnej izdebce nieraz 15, 16 godzin pracować musi, żeby jako tako nadażyć i zarobić na utrzymanie. Płacą mu od sztuki – mniej więcej po 6 zł od pary kamaszy. Jeżeli roboty nie braknie, to dobry czeladnik przez 15 godzin może zrobić 2 pary kamaszy – i zarobić ze swej pracy 12 zł. Zobaczmy teraz, skąd się bierze zarobek majstra.

Skóra, guma, podeszwy na jedną parę kamaszy kosztują od 14 do 17 zł, pomocnicze materiały (dratwy, szydła, ćwieki itd.) – 20 groszy; mieszkanie, dajmy na to, 20 gr⁸, płaca czeladnika – 6 złotych. Gdyby czeladnik dostawał za swą pracę całą należność, to w parze kamaszy powinna być wartość materiału (skóra, guma, podeszwy), tj. 17 zł, wartość materiałów pomocniczych – 20 gr, wartość mieszkania – 20 gr i wartość roboty czeladnika – 6 zł. Razem powinny by kamasze kosztować 24 zł gr 10. Tymczasem majster parę kamaszy sprzedaje mniej więcej za 33 zł gr 10. tj. o 9 zł drożej.

Skąd się wzięło tych 9 złotych nowej wartości? Oczywiście, że jej nie było ani w podeszwach, ani w ćwiekach, ani w mieszkaniu, oczywiście, że je dołożył i mógł dołożyć nie kto inny, jak tylko czeladnik.

Tak więc nasz czeladnik na 6 zł opłaconej pracy dodał majstrowi 9 nie opłaconej, 9 zł nadwartości, z której, rozumie się, korzysta tylko majster. Znowu więc nie opłacona praca półtora raza większa od opłaconej, znowu więc, jak to mówią, stopa nadwartości jest 1 i pół. Robotnik z 15 godzin dziennej swej pracy 6 godzin pracuje dla siebie, a 9 oddaje majstrowi, z bogaca go nimi.

Otóż macie i majstra – otóż widzicie, jak majstrowie otrzymują swe dochody. Czy z własnej pracy? Oczywiście rzecz, że nie. Tak jak i fabrykanci mogą oni mieć dochody, mogą z bogacać się tylko z cudzej pracy, tylko z pracy swych robotników i czeladników.

Widzicie teraz, jak można wierzyć podobnym ludziom, co jak autor książki *O własnej pomocy* cuda opowiadają o tym, czego można się dorobić „własną pracą”; wiecie teraz, że kiedy kto opowiada, jak to fabrykanci „własną pracą” dorobili się majątku, to jest to tylko haniebne oszustwo.

A co byście powiedzieli na to, że jest cała nauka, która powinna zajmować się stosunkami pomiędzy ludźmi i wyrobami ich rąk – a którą niby-uczeni ludzie tak skrzywili, że dowodzą w niej, że te stosunki, jakie teraz są, to najlepsze w świecie, że w dochodach żadnego korzystania nie ma z cudzej pracy, że dochód i zysk to najsprawiedliwsza rzecz itp. Nauka ta nazywa się *ekonomią polityczną*. I trzeba przyznać, że dużo, bardzo dużo złego narobiła ona robotnikom, którzy przez długi czas jej wierzyć musieli, póki nareszcie *socjaliści* nie pokazali, ile w tej nauce fałszu, nieprawdy, ile w niej krzywdy dla ludu i dla robotników.

VI

Fabrykanci, majstrowie to jeszcze nie wszystko. A gdzie są kupcy, gdzie obywatele ziemscy, gdzie urzędnicy itd.?

Właśnie przechodzimy teraz do nich. I żeby sobie wytłumaczyć dokładnie, skąd ich dochody powstają, z jakiej się oni pracy utrzymują, weźmiemy sobie przykład.

Przypuśćmy, że fabrykant jakiś włożył do swego przedsiębiorstwa milion złotych. Jakie to przedsiębiorstwo, to dla nas wszystko jedno. Zresztą dajmy na to, że cukrowniane. Otóż fabrykant nasz zakupił maszyny, materiały pomocnicze, buraki, wynajął robotników i po roku otrzymuje cukier, który jest wart 1 300 000 zł. Ma więc nasz fabrykant 300 000 złotych zysku ze swego miliona. Wiemy już, że te 300 000 złotych to nie opłacona praca robotników albo nie opłacona nadwartość.

Fabrykant chętnie zatrzymałby cały ten zysk dla siebie. Chociaż go one nic nie kosztowały, zawsze jednak nieprzyjemna to rzecz rozstawać się z pieniędzmi.

Ale na wydartą robotnikom nadwartość czeka mnóstwo amatorów. Każdy chciałby coś zagrabic, każdy chciałby choć kilka kropli krwi i robotniczego znoju zgarnąć do swojej kieszeni.

Pierwszy wyciąga swą rękę *kupiec*. Fabrykant bez kupca nic zrobić nie może. Wie on dobrze, że póki jego towar leży w magazynach, póty z niego nie ma żadnej korzyści. Potrzeba naprzód sprzedać towar,

⁸ Rozumie się, że mieszkanie kosztuje daleko więcej, może 60 zł, może 100 zł, ale też robi się w tym mieszkaniu nie jedną parę butów, a 50, 100 i więcej par na miesiąc.

zamienić na pieniądze, i dopiero wtedy można powiedzieć, że interes skończony. Trzeba więc poszukać kupca, by sprzedać cukier.

Kupiec się zgłasza, podejmuje się albo kupić towar, albo znaleźć innego kupującego, gotów nawet pieniądze sam zaraz zapłacić, ale żąda za swoją przysługę zapłaty; żąda, żeby mu ustąpiono z cukru jakiś procent, rabat. Fabrykant nie może się nie zgodzić na to, ustępuje mu, przypuśćmy, 10% i sprzedaje mu swój cukier nie za 1 300 000, ale za 1 250 000. Zysk więc fabrykanta zmniejszył się; część tego zysku przeszła do kupieckiej kieszeni, ale za to w kieszeni fabrykanta brzęczą teraz okrągłe pieniądze. Kupiec zarobił na tej operacji 50 000. W jaki sposób zdobył on ten zarobek? Czy z własnej pracy? Oczywiście, że nie. Jego zarobek był tylko częścią zysku fabrykanta, był więc częścią nie opłaconej pracy robotnika, nie opłaconej nadwartości. I kupiec więc swój dochód otrzymuje z cudzej pracy, z pracy robotników zajętych w fabryce.

Po kupcu zbliża się *obywatel ziemski*. Nasz fabrykant wybudował swoją fabrykę na ziemi tego obywatela. Bo chociaż czasami fabrykant buduje fabrykę na swoich gruntach, ale często też na cudzych. Za [wynajęcie placu pod fabrykę] właściciel tych gruntów żąda zapłaty – za najem żąda tak zwanej *renty*. Trudna rada, mówi nasz fabrykant do siebie, kiedy potrzeba płacić, to trzeba. I oddaje ze swego zysku 20 000 złotych *renty* właścicielowi ziemi.

Skąd powstają więc dochody właścicieli ziemi? Oczywiście, że także z zysku fabrykanta, a więc znowu z nie opłaconej pracy⁹ robotników fabrycznych.

Naszemu fabrykantowi pozostało już tylko 230 000 złotych zysku. Ale i teraz jeszcze nie może on wszystkich [pieniędzy] schować do kieszeni. Mówiliśmy o tym, że do fabryki swojej włożył on milion złotych. Ten milion złotych mógł być jego własny, ale mógł go on także pożyczyć. Wiele jest wszak takich bogatych ludzi, co nie chcą się zajmować żadnymi przedsiębiorstwami, a wolą swoje pieniądze pożyczać na procenty i co rok spokojnie zgarniać je do kieszeni. Otóż to właśnie u jednego z takich kapitalistów mógł nasz fabrykant pożyczyć pieniądze. Po roku, kiedy mu się udało – rozumie się, dzięki nie opłaconej pracy – zebrać 1 300 000, musi on zapłacić jakiś procent za pożyczanie miliona złotych, z którym do interesu przystąpił. Dajmy na to, że kapitalista pożyczył mu pieniądze na 6 procent. Musi więc fabrykant oddać teraz 60 000 złotych ze swego zysku, jako procent. Zostaje mu tylko 170 000 zł, a kapitalista zagarnia 60 000 zł. Z czyjej kieszeni? Z kieszeni fabrykanta? Tak, ale to się tylko tak wydaje. Właściwie to i te 60 000 pochodzą od robotników, z ich nie opłaconej pracy.

Jak mówiliśmy, fabrykantowi zostało 170 tysięcy. Ale i tymi pieniędzmi niezupełnie może się on cieszyć. *Rząd* chce także trochę dla siebie z tej grabieży. I rząd ma rację. Bo na cóż byłby rząd na świecie, gdyby nie było bogatych, którymi potrzeba się opiekować, biednych, których potrzeba uciskać? Wszak wojsko i policję trzyma rząd tylko po to, żeby biednych trzymać w uległości. Kiedy robotnicy schodzą się razem, umawiają się i żądają, żeby fabrykant podniósł płacę roboczą, to rząd zawsze wyśle wojsko, żandamerię, by „niepokornych” uśmierzyć. Kiedy fabrykanci dwóch krajów pokłócą się o to, którzy z nich mają posłać bawełnę do trzeciego kraju, to rząd z pewnością wyśle swe wojska na wojnę, by swoich fabrykantów obronić. A kiedy robotnicy w kraju się burzą, kiedy głośno zaczynają się domagać swoich praw i od fabrykantów i kupców sprawiedliwości żądać, to rząd gotów nawet wojnę wynaleźć naumyślnie, żeby tylko „niespokojnych” z kraju usunąć. Widzimy więc, że rząd ogromne usługi oddaje fabrykantom, bogaczom. A po co, myślicie, urządza on uniwersytety, po co upiększa miasta, buduje teatry? Myślicie, że dla biednych? Nie! Biedny swoich dzieci posyłać do szkoły nie może, do teatru nie chodzi. Wszystko to, rząd, policja i wojsko, teatry i ogrody – wszystko to istnieje dla bogatych, dla panów. Na to wszystko rząd, państwo potrzebuje bardzo dużo pieniędzy, dużo podatków. Ileż to samo wojsko zjada pieniędzy! A policja, a tysiące urzędników dużych, małych i maleńkich, a ministrowie, a cesarze, a królowie, królowe, królewiatka i diabli wiedzą nie co!

⁹ Mówimy tu o takim właścicielu ziemi, który sam gospodarstwa nie prowadzi. Taki właściciel, który sam gospodarstwo prowadzi, utrzymuje się także z pracy robotników, ale swoich własnych, z pracy parobków, komorników, najemników, kosiarzy.

Najwięcej podatków opłacają biedacy, robotnicy sami. Ale i trochę dają fabrykanci i kapitaliści. Wszak dla rządu to się dać opłaci; rząd to wszak najlepszy ich sługa. I nasz fabrykant oddaje trochę ze swego zysku: 30 000 zł – płaci podatku. Łatwo nam dojrzeć, że i ten podatek zapłacili robotnicy. Wszak fabrykant swego nie ma, a rozdaje tylko nie opłaconą robotniczą pracę.

Pozostaje naszemu fabrykantowi 140 000 zł. Z tych potrzeba dyrektorowi fabryki zapłacić rocznej tantiemy 5 000 zł, opłacić w towarzystwie ubezpieczeń 10 000 zł i rozmaitym innym pijawkom jeszcze 5 tysięcy. Pozostaje 120 tysięcy czystego zysku, z którymi można robić, co się tylko podoba. Cały świat będzie mówił, że te 120 tysięcy to jego „własność”, że nabył on je „własną pracą”.

Toteż nasz fabrykant za te 120 tysięcy złotych będzie umiał żyć! O! bo to oni nie obliczają, ile im potrzeba na podtrzymanie sił. Oni żyją tak, jak im się podoba. Teatry, bale, szampańskie wino, karety, zbytki w domu, zbytki przy stole. Życie przecież można, bo w kieszeni brzęczy nie opłacona praca robotników. Nie opłacona praca pozwoli na wszystko. Z nie opłaconej pracy, z nadwartości życia będą służyć fabrykanta, jego utrzymanki i lokaje, doktorzy, którzy leczą jego pańskie zdrowie, i uczeni, którzy dowodzą, że nie ma lepszego świata nad ten świat, w którym tak łatwo „własną pracą” się wzbogacać.

A resztę pieniędzy, która mu pozostanie po zaspokojeniu wszystkich zbytkownych potrzeb, nasz fabrykant dołoży do swego miliona, by jeszcze więcej mógł wynająć robotników, jeszcze więcej zagarnąć cudzej pracy, cudzej nadwartości.

VII

Teraz zupełną będziemy mogli dać odpowiedź na pytanie, któreśmy sobie i w tytule, i na początku swej książeczki położyli.

Kto z czego żyje? Czy z własnej, czy z cudzej pracy? Kto z czego się utrzymuje? Czy z własnych rąk, czy z cudzych?

Otóż moglibyśmy tutaj podzielić wszystkich ludzi na trzy rzędy.

Pierwszy rząd jest bardzo niewielki. Są to ludzie, co żyją albo utrzymują się z własnej pracy. Do tego rzędu zaliczymy wszystkich rzemieślników, co mają swoje narzędzia pracy i pracują sami, oraz wszystkich włościan, którzy mają tyle ziemi, że praca koło niej może ich wyżywić.

Drugi rząd ludzi będzie największy. Są to robotnicy, którzy nie mają swoich narzędzi, i włościanie, co albo mają za mało ziemi, albo wcale jej nie mają i muszą sprzedawać siebie, swoją siłę roboczą. Do tego rzędu zaliczymy wszystkich terminatorów, czeladników, robotników fabrycznych, wyrobników, parobków, komorników itd.

A *trzeci rząd* to są ci, co mają narzędzia pracy, ale sami koło nich nie pracują, tylko każą pracować innym. Ci, co żyją, utrzymują się i wzbogacają z cudzej pracy, z zagrabionej od innych ludzi nadwartości. Są to fabrykanci, majstrowie, obywatele miejscy i wiejscy, kupcy, policja, wojsko, królowie, ministrowie i wielu urzędników.

A teraz pytam się was: czy słuszny to świat taki, czy słuszny to taki podział na bogatych próżniaków i pracujących nędzarzy? Słuszny czy nie?

*

Widzieliśmy już dobrze w pierwszej połowie naszej książeczki, jak nasz świat jest urządzony. Jest w nim niewielka stosunkowo garstka ludzi, która żyje, bawi się kosztem pracy całego ludu. Jak się to dzieć może? Dlaczego?

Dlatego, że ta masa ludu nie jest wolna, dlatego że musi sprzedawać swoją siłę roboczą, sprzedawać siebie.

A dlaczego ta ogromna masa ludzi musi się sprzedawać?

Dlatego że nie ma narzędzi pracy. Widzieliśmy, że tylko ten, kto nie ma własnych narzędzi pracy, sprzedawać się musi, bo inaczej umarłby z głodu.

Więc jeżeli chcemy poprawić, polepszyć, zmienić teraźniejsze porządki, jeżeli chcemy usunąć tę nędzę u jednych, te zbytki u drugich, cóż powinniśmy zrobić?

Oczywista rzecz – urządzić tak, żeby każdy miał swoje własne narzędzia pracy.

Wtedy każdy będzie pracował na siebie. Nikt nie będzie pracował na innych, nikt nie będzie oddawał nadwartości ze swej pracy. Wtedy nikt też nie będzie kupował ludzi i ich siły roboczej; nikt nadwartości zabierać nie będzie; nikt nie będzie się mógł z bogacza pracą drugich; nikt z pracy innych utrzymywać się nie będzie.

Urządzić tak, aby każdy miał swoje narzędzia pracy? Ale w jaki sposób urządzić, żeby każdy miał swoje narzędzia? W tym właśnie sęk, powiecie mi tutaj.

Jak urządzić? Ależ nic nie ma nad to prostszego. Odebrać narzędzia pracy od tych, którzy ich mają za dużo, i oddać je na użytek ludzi pracy.

– Odebrać! gwałtem!! Ale, człowieku, zmiłujże się, jak to odebrać? Czy to można? Czy się to uda? Czy to moralne?

Czy to można? Czy to się uda? Czy to moralne? Otóż na te trzy pytania postaramy się tutaj odpowiedzieć.

I

A najprzód, czy to można?

Czy można, żeby każdy robotnik, każdy człowiek miał swoje narzędzia pracy, czy nie?

Nie takie to proste pytanie, jakby się zdawać mogło. Z pierwszego razu to wydaje się nawet, że to rzecz wcale nie trudna. Wszak było już dawniej, że każdy prawie rzemieślnik miał swój własny warsztat, u siebie w domu był panem.

Było tak dawniej, to prawda. Ale wtedy i ludzi na świecie było jeszcze mało. To samo miasto, które przed 200 laty miało 500 tysięcy mieszkańców, dziś ma 4 miliony (np. Londyn w Anglii); miasto, co przed stu laty miało 90 tysięcy mieszkańców, dziś ma ich 400 (np. Warszawa); w kraju, w którym przed 200, 300 laty mogły być 2 miliony, dziś będzie 10 i więcej milionów ludności; tam zatem, gdzie dawniej na wszystkich starczyło 100 tys. par butów, dziś potrzeba miliona albo może i więcej, a w kraju, w którym dawniej milion łokci płótna używano, dziś potrzeba dziesięć, dwadzieścia razy tyle.

Dawniej więc, „za dobrych, starych czasów” – jak to mówią, chociaż nie były one znów tak dobre, żeby ich żałować potrzeba – za dawnych czasów tkacz, który z żoną i z dziećmi przy warsztacie u siebie w domu pracował, albo ślusarz, który sam zamki robił, nie mógł robić ani dużo płótna, ani dużo zamków. Robili mało, bo było też mało potrzeba; tkacz robił swoje płótno na kiepskich krosienkach, ślusarz byle jakimi narzędziami swoje zamki wyrabiał.

Dziś tkacz musi koniecznie robić na maszynie. Kto by chciał na krosienkach płótno utkać, to tak samo, jakby końmi chciał jechać tam, dokąd kolej prowadzi. Musiałby on stracić 100 razy i więcej czasu na zrobienie tego, co przy pomocy maszyny robi w godzinę¹⁰.

Dziś potrzeba dużo, bardzo dużo wyrobów. Dziś potrzeba ogromnych fabryk, potrzeba maszyn parowych, potrzeba ogromnych magazynów, żeby całą tę ilość potrzebnych wyrobów wytworzyć. Dziś na przykład w samej Anglii 450 087 robotników przędzie bawełnę na 33 milionach wrzecion!

Oto gdyby *każdy* robotnik chciał albo mógł mieć swój własny, osobny warsztat, gdyby każdemu oddano po wrzecionie, gdyby z każdego z nich robotnika samodzielnego zrobiono, toż przecież wszyscy nie podołaliby swej pracy i nie zrobiliby nawet dwudziestej części tego, co teraz robią. W całym świecie zabrakłoby wszędzie bawełnianych wyrobów i nasze włościanki gorzko by się skarżyły na te nowe porządki.

¹⁰ Dziś np. w Anglii przerabiają w jeden dzień więcej bawełny, niż przed 150 laty przerabiano w trzy lata. Co prawda, robotników wówczas było znacznie mniej.

Widzicie więc, że nie tak to łatwo i nie zawsze to można, żeby każdy dla siebie miał osobny warsztat, osobne narzędzia pracy. Nie byłoby wyzyskiwania – to prawda, ale za to wszędzie byłby niedostatek najpotrzebniejszych towarów, nędza, a nawet głód.

Tak! głód! I zaraz o tym się przekonacie. Dziś w Anglii np. prawie że nie ma robotników, którzy by mieli swoje własne narzędzia pracy. Włościan zaś, którzy by uprawiali własne kawałki ziemi, nie ma wcale. Są tylko wielcy panowie¹¹, którzy mają ogromne przestrzenie gruntu, parowe pługi, parowe żniwiarki, młocarnie i najmują robotników wiejskich do uprawiania swych pól. Robotnicy zaś wiejscy nie mają nic: ani pola, ani ogrodu, ani narzędzi pracy, ani nawet chaty własnej; muszą więc sprzedawać się w niewolę panom i oddawać im swoją pracę dodatkową (swoją *nadpracę*).

Jest więc tym robotnikom źle, bardzo źle; jeżeli czytać w książkach opisy nędzy tych robotników wiejskich w Anglii, to dreszcze przechodzą ze zgrozy i oburzenia na okrucieństwo i chciwość angielskich panów.

No! Ale czyż wy myślicie, że dobrze by było, gdyby z nich każdemu oddano osobny kawałek gruntu? Czy wygrałby wiele na tym *cały* lud angielski? Wcale nie! W 1875 r. Anglia potrzebowała rocznie 22 mln kwarterów (kwarter to 300 kwart) zboża. Ale na angielskiej ziemi rodzi się tylko 13 milionów, tak że 9 milionów potrzeba przywozić z zagranicy. Gdyby teraz ziemię podzielono na małe kawałki, na których by nie można było używać ani parowych pługów, ani żniwiarek, ani kosiarek, toby nie tylko 13, ale 5, 6 milionów nie wytworzono. Anglia musiałaby chyba z głodu umierać.

Więc widzicie, że niezupełnie byłoby dobrze, jeśliby każdy miał swoje narzędzia pracy!

Więc jakżeż będzie? Nie mieć swoich własnych narzędzi pracy – to źle, bo potrzeba sprzedawać swoją siłę roboczą, sprzedawać siebie, wzbogacać innych; mieć swoje własne narzędzia pracy – znowu źle, bo będzie nędza, głód. Więc cóż nareszcie zrobić, gdzie tu znaleźć radę?

Rada jest, i znakomita. Dlaczego by nie zrobić tak, jak jest dotychczas? Gdzie robotnicy pracują razem w wielkich fabrykach i na wielkich kawałkach ziemi, niech pracują i nadal *razem*, wspólnie. Ale niech nie pojedyncze narzędzia, pojedyncze wrzeciona, nie kawałki, ale *całe fabryki* należą do *robotników*, i to nie do *jednego*, ale do *wszystkich*. *Niech wszystkie fabryki i cała ziemia należą do wszystkich robotników, niech będą ich wspólną własnością*. Niech robotnicy pracują razem, ale nie na fabrykanta, tylko na siebie. Wtedy będzie wszystko załatwione, wtedy wyrabiano by nie mniej jak teraz. Owszem, wyrabiano by daleko więcej. Każdy będzie wiedział, że nie pracuje na jednego pasibrzucha, ale pracuje na wszystkich, że pracuje na swoich towarzyszy i że ci w zamian pracują na niego. Będzie on teraz dobrze wiedział, że jeżeli będzie pracował dłużej w fabryce, niż potrzeba, to nadwartość (dodatkowa wartość, dodatkowa praca) będzie służyć wszystkim, nie pójdzie na zbytki garstki ludzi, ale poprawi los wszystkich.

Tak więc *tylko WSPÓLNA WŁASNOŚĆ FABRYK I ZIEMI może ocalić robotników*.

II

A teraz zapytamy: czy to się uda? Czy można mieć jakiegokolwiek nadzieje na to, żeby wspólna własność fabryk i ziemi ziściła się kiedykolwiek naprawdę? Czy to naprawdę możliwa rzecz, żeby każdy o sobie mógł powiedzieć, że sam jest dla siebie panem?

Przecież biedni i bogaci byli od najdawniejszych czasów. Przecież od najdawniejszych czasów zawsze i wszędzie była masa ludzi, których gnębiono, i garstka, która gnębiła innych. Przecież od najdawniejszych czasów znajdowali się ludzie, którzy widzieli, że ten porządek niesłuszny, niesprawiedliwy; a jednak nic to nie pomogło: zawsze biednym było źle, zawsze bogatym było dobrze.

A czy nie widzimy teraz, że biedaków coraz więcej na świecie? Czy nie widzimy, że nędza rozwieliła się teraz straszliwie we wszystkich krajach, a zbytek i swawola próżniaków mnożą się wszędzie niesłychanie?

¹¹ W wydaniu z 1903 r. zdanie to brzmi: Włościan... jest bardzo niewiele. Już więcej jest włościan dzierżawców. Cała zaś gospodarka jest w ręku wielkich panów. – *Przyp. red.*

Wszystko to prawda, najistotniejsza prawda, ale to wszystko nie może nam odbierać otuchy; owszem, właśnie z tego widzieć możemy, że koniec dzisiejszego porządku bardzo niedaleki. Zaraz to sobie wyjaśnimy.

Istotnie, coraz więcej biedaków, co nic własnego nie mają, i trudna rada, coraz więcej być *musi*. Nie poradzi na to nikt. Rzemieślnik, kiedy posyła swoje towary na rynek, chciałby dostać za nie jak najwięcej. Nic w tym dziwnego, wszak dołożył do nich tyle pracy, ile mógł. Ale cóż z tej pracy? Fabrykant, który te same wyroby robi w swej fabryce, tyle pracy nie potrzebuje. Jeżeli, dajmy na to, zamek kosztuje ślusarza trzy godziny pracy, to w fabryce ta sama robota zajmie tylko dwie godziny czasu. Ślusarz będzie chciał za swój zamek 3 złote (jeżeli godzina pracy tyle warta, ile złotówka), ale fabrykant sprzeda go za 2 zł. Rozumie się, że nikt nie kupi zamka u ślusarza, a ślusarz, który towarów swoich sprzedawać nie będzie, będzie musiał zwinąć warsztat i pójść sprzedawać swoją siłę roboczą do fabryki.

To samo, co o ślusarzach, da się i o wszystkich rzemieślnikach powiedzieć. Z maszyną, z fabryką nie mogą oni iść w zawody i prędzej czy później muszą się oni stać robotnikami. Coraz więcej robotników tracić *musi* swoją wolność i wystawiać swoją siłę roboczą na sprzedaż.

Gdyby chociaż robotnicy mieli zawsze stałą zapłatę, żeby chociaż mogli na tę zapłatę liczyć, to jeszcze można by znosić to nowe położenie. Ale gdzież tam! Dzieje się właśnie zupełnie inaczej. *Zapłata robotnika zniża się ciągle* i ciągle *musi się zniżać*, za to *zysk i dochody fabrykanta są coraz większe*. Postarajmy się to sobie wytłumaczyć.

Przypomnijmy sobie, skąd powstaje zysk fabrykanta. Stąd, że robotnik oddaje mu swoją dodatkową pracę (nadpracę), że część dnia pracuje na siebie, na swoje wyżywienie, a resztę dnia oddaje za darmo.

Jeżeli na przykład fabrykant ma 20 robotników u siebie i płaci im po 6 zł dziennie, to płaci im dlatego 6 zł, że tyle potrzeba na ich wyżywienie (pokarm, odzież, mieszkanie). Ale robotnicy po 6 godzinach pracy odrabiają już te 6 złotych, a resztę dnia (drugą połowę) pracują darmo i dają tym sposobem fabrykantowi darmo 6 złotych nowej wartości co dzień. A że ich jest 20 i że pracują, przypuścmy, 333 dni w roku, więc przynoszą zysku fabrykantowi $20 \times 6 \times 333$, tj. około 40 000 zł rocznie. Oczywiście rzecz, że im więcej robotnicy oddają swej pracy, tym większy będzie zysk fabrykanta; jeżeliby, zamiast 6 godzin dziennie, oddawali mu 8, to zysk byłby nie 40 000, ale 53 280 złotych.

Otóż istotnie dzieje się tak, że robotnicy muszą oddawać coraz więcej pracy fabrykantom.

Jak to coraz więcej?

A tak! Dlaczego nasz robotnik dostaje 6 złotych dziennej płacy? Dlatego że tyle potrzeba na jego wyżywienie, tj. dlatego że potrzeba 6 godzin pracy, żeby otrzymać wartość pokarmu, odzieży, mieszkania, by utrzymać robotnika przy życiu i możliwości pracowania, innymi słowy, dlatego że zwykłe wyżywienie robotnika warte 6 godzin pracy. Resztę, tj. 6 godzin, bierze fabrykant albo majster.

Jeżeliby mogło stać się tak, że na wyżywienie robotnika potrzeba będzie nie 6, ale 4 godziny, to robotnik dostanie tylko 4 złote; na siebie zatem pracować będzie tylko 4 godziny, a 8 godzin nadwartości będzie oddawał.

I istotnie tak się dzieje. Ponieważ maszyny wprowadzają teraz wszędzie, a maszyny zmniejszają pracę przy wyrabianiu towarów, to coraz mniej potrzeba pracy, żeby zrobić te wszystkie przedmioty, których robotnik potrzebuje. Dawniej koszula robotnika kosztowała 2, 3 dni pracy, dziś kosztuje ona dzień; dawniej surdut mógł kosztować 10 dni pracy, dziś kosztuje 3 dni. Robotnik więc już nie potrzebuje na swoje własne utrzymanie tak długo pracować, jak dawniej. Dawniej musiał pracować 8, dziś mu dosyć 6 godzin. Ale cóż z tego za korzyść dla robotnika? Dawniej z dwunastu godzin dziennej pracy 6 brał dla siebie, 6 zaś oddawał za darmo; dziś dla niego dosyć czterech, więc pozostaje dla fabrykanta 8 godzin. Te dwie godziny, które robotnik na pracy oszczędził, nie przydadzą mu się na nic, bo idą na powiększenie dochodu jego pana. Dawniej 6 godzin trwała praca potrzebna dla niego, 6 godzin zajmowało wytworzenie nadwartości, a stopa nadwartości (tj. stosunek nie opłaconej pracy do opłaconej) była równa 1 (lub sto proc.); dziś potrzebna dla robotnika praca trwa 4 godziny, nadwartość zaś zajmuje 8 godzin, a stopa nadwartości jest dwa (albo 200 proc.).

Wiemy dalej, że do wszystkich rzemiosł, do wszystkich zajęć, przy których wyrabiają się przedmioty potrzebne robotnikowi, coraz więcej wprowadzają nowych maszyn. Toteż musi się zmniejszać bezustannie czas potrzebny robotnikowi na jego utrzymanie, a wskutek tego powiększać się musi ciągle czas, który robotnik oddaje fabrykantowi. Stopa nadwartości musi zwiększać się ciągle.

Widzimy więc teraz, dlaczego robotnicy muszą się stawać coraz biedniejsi, a fabrykanci coraz bogatsi.

– Ładna to dla nas pociecha, odpowiecie mi. Jeżeli tak być *musi* ciągle, to skądżeż mamy mieć nadzieję, że się rzeczy kiedykolwiek odmieniają?

– Odpowiem wam na to przysłowiem: nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. I w tym ciągłym wzroście stopy nadwartości jest dużo dobrego. Naprzód dobre jest to, że coraz mniej pracy kosztuje utrzymanie robotnika. Teraz, kiedy całą pracę oddaje się panu, to niewielka z tego pociecha, ale później to się to zmniejszenie koniecznej pracy bardzo przydać może.

A potem pomówić tu musimy jeszcze o jednej rzeczy, o której nie wspomnieliśmy dotychczas.

Czy wy myślicie, że to *wszyscy* fabrykanci z bogacają się z cudzej pracy? Gdzie tam! Wszyscy z bogacić się nie mogą i jeden stara się zrujnować drugiego. Jeden wyrabia, ile tylko może, towarów, np. perkalików na sprzedaż, drugi posyła ich więcej, trzeci jeszcze więcej, a każdy musi sprzedawać je taniej od drugiego. Nareszcie posyłają towaru tyle, że się kupców na te perkaliki nie znajdzie i fabrykanci bankrutują. Tylko bogaci mogą dalej zostać i prowadzić fabrykację, a mniej bogaci rujnują się do szczętu i rujnują tysiące robotników, którzy u nich pracowali. I to się powtarza co kilka lat. Co kilka lat musi ginąć mnóstwo mniejszych fabrykantów, a z bogacać się kilku większych; co kilka lat ogromną masę robotników wyrzucają na bruk.

– No więc cóż z tego?

– Bardzo wiele. – Fabrykantów i bogaczów jest *coraz mniej*, robotników biedaków coraz więcej; bogactwa dostają się do rąk coraz to mniejszej garstki ludzi – nędza zaś ogarnia coraz większe masy.

Robotnicy widzą, że fabrykantów coraz mniej, że chociaż bogactwa ich wzrastają, ale liczba ich się zmniejsza, że zatem co fabrykanci wygrywają na majątku, to na sile tracą.

Ci zaś robotnicy, co w fabryce pozostają, uczą się wspólnej pracy, widzą własnymi oczami, jak to dobrze, kiedy się razem pracuje porządnie, zgodnie, ile się na tym wygrywa czasu i o ile lepsze bywają wyroby. Widzą też własnymi oczami, jak to jest źle, kiedy te wszystkie narzędzia pracy należą do jednego właściciela, który nie tylko że nie pracuje, ale często nawet na fabrykacji się nie zna, a nawet nieraz nie widzi fabryki.

Przy tym uczą się w fabryce robotnicy – solidarności. Widzą wszyscy, że są braćmi, że wszyscy mają jednego wroga, który ich wyzyskuje, i rozumieją, że żeby tego wroga zwalczyć, trzeba się łączyć po bratersku ze sobą, pomagać sobie wzajemnie.

Naturalnie więc, że może w głowie niejednego robotnika powstać myśl: A po co też naprawdę my pracujemy na jednego? Nas jest tylu – on jest jeden – my pracujemy dla siebie, a on z nas zdziera; my byśmy prowadzili fabrykację porządnie, uczciwie, nam nie chodziłoby o zysk, o zdzierstwo, ale o utrzymanie tylko. My byśmy pracowali z korzyścią dla wszystkich – fabrykant pracuje na swoją korzyść, a na wszystkich szkodę. Dlaczegoż by się nie zmówić wszystkim robotnikom, dlaczego by nie *odebrać fabryk i ziemi* od wszystkich panów?

III

Odebrać? Ale czy to będzie słuszne, czy to będzie sprawiedliwe? – zapytacie.

Odpowiem wam na to, że nie nos dla tabakiery, ale tabakiera dla nosa. Nie po to są ludzie, żeby coraz więcej robić towarów, ale towary po to, żeby coraz więcej ludzi mogło z nich korzystać. Robotnicy wytwarzają towary, oni też z nich muszą korzystać, a do tego *potrzeba* im narzędzi pracy od fabrykanta.

A kiedy wam kto powie, że własność to święta, że zabierać się nie godzi, nie wolno, to macie jedną krótką, ale dobrą odpowiedź: A wam wolno było setki lat, co dzień, co godzina nas okradać, krew i pot z

nas wysysać? Zabieramy, co nasze. Fabryki wybudowaliśmy własnymi rękami, ziemię uprawiliśmy sami; wszystko to z naszych rąk powstało, więc do nas teraz należeć powinno. Dłużej naszą pracą innych z bogacać nie chcemy!

IV

A teraz pozostaje jedno, najważniejsze pytanie.

W jaki sposób odebrać te fabryki i tę ziemię i jak tego dokonać?

– To już wasza sprawa. Nad tym wy radzić powinniście.

Kiedy dawniej szło o to, żeby wyzwolić z niewoli ojczyznę, kiedy szło o to, żeby wroga z kraju wypędzić, wtedy proszono was, robotnicy, o pomoc i wtedy mogliście się zapytać: „Oswobodzić ojczyznę, wypędzić wroga. Dobrze, ale jak?”

Dziś – idzie tu o *waszą własną sprawę*, o sprawę waszych rodzin, waszych braci, a własną sprawę samemu trzeba umieć załatwić.

Pamiętajcie jednak zawsze, że tylko przy wspólnym posiadaniu narzędzi pracy ludzie mogą być szczęśliwi, żyć mogą.

A gdyby stu ludzi i sto książek, takich jak *Pomoc własna*, mówiło wam, że jeden człowiek własnym wysiłkiem zdobędzie sobie wszystko, nie wiercie im.

TYLKO RAZEM DZIAŁAJĄC, ROBOTNICZY SOBIE SZCZĘŚCIE ZDOBYĆ MOGĄ.

D o d a t e k

Tylko nie myślcie, że sami jesteście na świecie, że nikt wam w waszej sprawie nie pomoże.

Nie, nie jesteście sami! Najprzód macie jednego sprzymierzeńca, który zawsze będzie stał po waszej stronie, który wam zawsze otuchy dodawać będzie i musi was do zwycięstwa doprowadzić. Tym sprzymierzeńcem to *ślusznosc waszej sprawy*. I choćby was garstka tylko była, choćbyście wrogów mieli tysiące, choćby nieraz prześladowania i kłeski znosić wam wypadało, wy zawsze śmiało możecie domagać się swych praw, zawsze śmiało możecie walczyć ze swymi wrogami, z pijawkami krwi waszej i potu waszego – bo wasza sprawa jest słuszna, bo wasze zwycięstwo jest pewne.

A cierpiących tak, jak i wy – miliony na świecie. Nie ma wszak zakątka na tej ziemi, w którym by pracy robotnika nie wyzyskiwano, nie ma też za to i zakątka prawie, gdzie by wśród robotników nie szerzyły się myśli o ich prawach, gdzie by nie mówiono o prawie robotnika do maszyn, o prawie rolnika do ziemi, którą uprawia.

Trudno by tu było opisać wszystko, co robią nasi bracia robotnicy w rozmaitych krajach, żeby dojść do prawdziwej wolności, by nie sprzedawać swej pracy. Trzeba by na to było tomów całych. Ale kilka słów zawsze powiedzieć można.

Zacznijmy od *Francji*. W tym kraju robotnicy nie od dziś myśleć poczęli nad swym losem. Sto lat prawie upłynęło od czasu, kiedy lud miast i wsi zrobił ową sławną wielką rewolucję francuską, oswobodził włościan, wypędził króla i zaprowadził u siebie republikę. Ale nie na długo starczyło wolności. Dobrze było tylko tym, co własność mieli. Ci zaś, co nie mieli żadnej własności, musieli znosić nędzę, sprzedawać się i pozwolić na to, że miejsce republiki zajął cesarz, że ludowi odebrano znowu wszystkie prawa. Później zrobiono rewolucję w 1830 r., w lutym 1848, w czerwcu 1848 roku, we wrześniu 1870, ale wszystkie one kończyły się tym, że władza dostawała się zawsze do rąk wrogów ludu. Dopiero 18 marca 1871 roku pierwszy raz udało się ludowi wybrać rząd swój, robotniczy. Paryżem przez dwa miesiąca rządziła wybrana przez lud paryski Komuna, która w znacznej części z robotników się składała i która mogłaby istotnie gruntownie odmienić cały porządek, gdyby nie musiała prowadzić wojny ze zdrazieckim rządem. W tej wojnie rząd wziął górę: 40 000 ludzi, po największej części niewinnych, wymordował na ulicach Paryża, tysiącami do więzień i na wygnanie wysyłał. Myślał rząd, że w taki sposób uda mu się

zupełnie wytepić tego ducha oporu, który robotnika francuskiego ożywia, i raz na zawsze wybić mu z głowy myśli o poprawie, o zmianie jego losu.

Po Komunie istotnie z początku przycichło wszystko. Robotnicy, co przed wojną francusko-pruską i Komuną łączyli się ze sobą we wszystkich większych miastach dla prowadzenia walki z przedsiębiorcami, fabrykantami, dla zbudowania prawdziwej – jak mówili – „socjalistycznej” republiki, teraz nie śmieli bronić się od ucisku. Ale powoli dawny ruch oporu na nowo pomiędzy robotnikami rozszerzać się zaczął. Zaczęto zbierać się najprzód w mniejsze tajne kółka, w których rozprawiano o poprawie losu robotników. Powstawać potem zaczęły i rozrastały się rozmaite robotnicze stowarzyszenia, które miały na celu poprawę losu robotników, zaczęto wydawać książki, broszury, gazety, łączyć się pomiędzy sobą, schodzić się na zjazdy robotnicze. W październiku 1879 r. na jednym z takich zjazdów (trzecim z kolei) wybrani przez rozmaite robotnicze stowarzyszenia posłowie zjechali się w Marsylii i tam po wzajemnych naradach przyszli do przekonania, że robotnicy powinni wszystkimi siłami starać się, żeby objąć w posiadanie ziemię i fabryki, słowem, wszystkie narzędzia pracy. Po zjeździe w Marsylii ta myśl o tym, że dla robotników nie ma innej drogi, jak tylko zabranie fabryk i ziemi, rozszerzała się coraz bardziej i teraz nie ma we Francji większego miasta, w którym by kilka, kilkanaście albo kilkadziesiąt robotniczych stowarzyszeń nie zgadzało się z tą myślą. O tym, że potrzeba zabrać fabryki i ziemię, mówili robotnicy na ogólnym zjeździe w Hawrze zeszłego roku i na cząstkowych zjazdach w Cette i St.-Etienne, w Paryżu; o tym słyszeć można na każdym robotniczym zebraniu, czytać na każdej stronie robotniczej gazety. Powoli rośnie, łączy się, organizuje się we Francji ta armia robotnicza, co do zupełnego wyzwolenia całego ludu doprowadzi.

W Niemczech przed trzema jeszcze laty istniała i pracowała jawnie ogromna partia robotnicza. Miała ta partia w każdym mieście niemieckim mnóstwo zwolenników, a kiedy wypadło wybierać posłów do niemieckiego parlamentu, to w ostatnie lata pięćset tysięcy ludzi oddawało swoje głosy na robotniczych kandydatów. Partia niemiecka mówiła, że i ona chce, żeby fabryki i ziemię przeszły na wspólną własność, ale uważała to za dalszy cel, a tymczasem żądała powszechnego prawa głosu dla wszystkich obywateli, nauki bezpłatnej i obowiązkowej dla wszystkich, swobody pisania, mówienia, zbierania się i zakładania stowarzyszeń, jak się komu podoba, zniesienia służby wojskowej itd.

Ale od tego czasu, od 1878 r., dużo się zmieniło. Jak wiadomo, w 1878 roku w maju jeden socjalista strzelił do cesarza niemieckiego Wilhelma, w dwa tygodnie później strzelił do niego jakiś drugi. Za to zaczęto prześladować robotników jak nigdy, zakazano im zbierać się, wydawać gazety, łączyć się w stowarzyszenia, wypędzono ich z rodzinnych miast, sadzano do więzień, gnębiono ich. Z początku zdawało się, że te prześladowania zgniotą partię. Ale tak nie było. Zamiast pracować nad swoim wyzwoleniem jawnie – zaczęli się oni wiązać teraz w potajemne kółka, zamiast wydawać gazety dozwolone w kraju – wydają je za granicą; drukują u siebie w Niemczech proklamacje, a zamiast – jak dawniej – otwarcie walczyć z wrogiem swym, teraz prowadzą walkę ukrytą, potajemną. Nie tracą oni energii, nie tracą pewności i wiedzą, że cokolwiek prędzej, cokolwiek później, ale zawsze do ostatecznego swego celu, do zabrania fabryk i ziemi, dojść oni muszą.

I tak [jest] nie tylko w Niemczech i Francji! Oto w Belgii we wszystkich prawie miastach istnieje partia robotnicza, która także dąży do opanowania fabryk i ziemi; tylko podczas gdy jedni robotnicy są zdania, że potrzeba na nic uwagi nie zwracać i odebrać fabryki i ziemię natychmiast, drudzy myślą, że potrzeba najprzód postarać się o to, żeby wybrać robotniczy rząd, i dopiero rząd ten ma się zająć wywłaszczeniem przedsiębiorców, kupców, fabrykantów.

Oto w Szwajcarii od lat kilkadziesiąt podobny ruch robotniczy istnieje; w Zurychu, Bazylei, Bernie i Genewie są robotnicze stowarzyszenia, którym nie dosyć, wcale nie dosyć, że w ich republikańskiej wolności panuje, ale które mówią, że z tej wolności nic nie będzie, póki cały ogół nie otrzyma na własność wszystkich fabryk i całej ziemi.

Oto we Włoszech ruch robotniczy także ogromne zrobił postępy. Nie trwa on od dawna bynajmniej – lat kilkanaście zaledwie, ale pomimo to, szczególnie po upadku Komuny w Paryżu, rozszerza się,

zajmuje coraz więcej umysłów, pomagają robotnikom włoskim łączyć się ze sobą w stowarzyszenia jednego fachu, w federacje itd. – niemało nadziei obudza.

I w *Hiszpanii* ruch pomiędzy robotnikami młody, zaledwie kilkanaście lat trwa, a już rozmaitym uległ kolejom. Był już, jak to mówią, i na wozie, i pod wozem. Raz nawet udało się robotnikom opanować w Hiszpanii miasto Kartagenę i zaprowadzić w nim własny rząd. Ale kiedy Kartagenę rząd zajął, zaczęto robotników prześladować strasznie. Teraz znowu podnoszą głowę robotnicy hiszpańscy i żądają – jak i wszyscy europejscy ich bracia – zniesienia wszelkiego rządu, wszelkiego wyzyskiwania, a wspólnej własności fabryk i ziemi.

O *Rosji* wam chyba dużo opowiadać nie potrzebuję. Któż z was nie słyszał o zabiciu cara, kto z was nie wie, że go zabili socjaliści, tj. ludzie, co obronę robotników, ludu wzięli za cel swojego życia?

Lat temu 10 znalazło się w Rosji wiele młodych ludzi, którzy zrozumieli, tak jak my teraz rozumiemy, że póki lud rosyjski nie będzie miał ziemi i fabryk, póty nikt go z nędzy jego nie wydobędzie, póty zawsze cierpieć będzie musiał od swych panów i od cara. Postanowili tedy iść między lud, uczyć go, wskazywać mu na to, skąd płynie jego nieszczęście, przygotować go do powstania przeciwko panom i rządowi. I naprawdę udało się im dużo znaleźć pomiędzy robotnikami ludzi, co słuchali chętnie, co gotowi byli życie swoje oddać za sprawę ludu. Ale rząd zaczął straszliwe prześladowania, za jedno słowo, za jedną książkę posyłano nawet kobiety, nawet dzieci prawie – na Sybir, do ciężkich robót; trzymano niewinnych ludzi po trzy, po cztery lata w więzieniu, torturowano, mordowano. Nareszcie przerwała się cierpliwość prześladowanych socjalistów. Za mordowanie swoich przyjaciół zapłacili oni zabójstwem carskich szpiegów i sług. A kiedy to nie pomogło, kiedy car prześladować nie przestał, a najlepszych, najszlachetniejszych ludzi na szubienice posyłał, zabili i samego cara.

Cóż wam powiedzieć jeszcze?

Na *Węgrzech* robotnicy wiedzą także o tym, że potrzeba zabrać narzędzia pracy, i utworzyli osobną partię robotniczą.

W *Austrii* krzątają się koło wzmocnienia partii i chociaż rząd żadnej sposobności nie opuści, żeby gnębić, prześladować robotników, pomimo to ci mają swoje gazety, zakładają stowarzyszenia jawne i tajne i idą – jak i wszyscy inni robotnicy – po drodze do swego oswobodzenia. To samo i w innych krajach: w *Danii*, w *Portugalii*, w *Holandii* są partie robotnicze, które do tego samego celu dążą.

Ale i pomiędzy Polakami nie od dziś dnia tylko zaczęto myśleć o tym, żeby do gruntu zmienić los robotników. Lat temu kilka w Warszawie robotnicy po raz pierwszy schodzić się poczęli, łączyli się w tajne kółka i naradzali nad tym, jak to poprawić los swój, jak go zmienić. Zaczęli oni poznawać, gdzie złego szukać potrzeba, gdzie się kryje źródło ich nieszczęść. I oni pojęli, że pracować powinni nad tym, by zdobyć fabryki i ziemię. Prześladowano ich, gnębiono, latami całymi trzymano w Cytadeli, zabijano, wysyłano na Sybir. Nie pomogło to jednak. Nowa myśl już w Warszawie puściła korzenie i nikt wyrwać jej nie potrafi. I nie tylko w Warszawie, ale i w innych miastach polskich mówią też pomiędzy sobą robotnicy o zmianie swego losu.

We Lwowie to najprzód pomiędzy Rusinami, a potem i Polakami wyrobiło się przekonanie, że robotnikom co najprędzej (jeżeli naprawdę o sobie pomyśleć chcą, naprawdę coś trwałego a potrzebnego zrobić) potrzeba złączyć się razem i do opanowania narzędzi pracy podążać. Teraz to myślą nawet robotnicy lwowscy osobną partię robotniczą stworzyć.

Ot, i widzicie, że nie jesteście sami. We wszystkich krajach, we wszystkich miastach – od Paryża do Warszawy, od Petersburga do Lizbony – są ludzie, co myślą tak, jak wy myślicie, są robotnicze stowarzyszenia, całe partie robotnicze, które do tego samego celu dążą, do którego i wam iść potrzeba. Ilu ich jest? Kto to może przeliczyć? Może milion, może pół, może dwa miliony, a może daleko więcej – na pewno tego wiedzieć nie można. Ale na co można liczyć z pewnością, to na to, że gdyby ten milion ludzi porozumiał się ze sobą, gdyby się bliżej poznał, połączył i razem pracować postanowił, to nic by się mu oprzeć nie mogło. Za tym milionem zawsze poszłyby dziesiątki milionów ludu i czego by tylko zażądał, czego by tylko chciał szczerze i mocno, musiałoby się ziścić. Przed taką masą ludu musiałyby ustąpić i rządy, i wojska, i panowie, i fabrykanci, i kupcy. Takiej masie nic by się oprzeć nie mogło.

Raz już nawet nie tylko że o tym wspólnym działaniu, o porozumieniu się między robotnikami myślano, ale [nawet] robiono już dużo, bardzo dużo. Było to 17 lat temu. Wojska rosyjskiego cara pastwiły się nad resztkami naszych wojsk powstańczych, a powstanie 63 roku chyliło się ku końcowi. Wtedy to angielscy i francuscy robotnicy, którzy zawsze sprzyjali sprawie polskiej, zjechali się we wrześniu 1864 roku do Londynu, żeby tam w sprawie powstania się odezwać. Otóż na zebraniu tym jeden z członków powiedział, że chociaż lud polski cierpi od rosyjskiego najazdu, ale nie mniej cierpią i robotnicy innych krajów i narodów, którzy wrogów mają u siebie w domu, którzy głód i nędzę znoszą, chociaż ich kraj obcych wojsk nie ma u siebie. Robotnikom więc i wszystkim, co cierpią, złączyć się potrzeba razem: francuskim i niemieckim, angielskim i irlandzkim, włoskim i hiszpańskim, polskim i rosyjskim, żeby *razem* uwolnić się od wszystkich wrogów, od przemocy panów i przedsiębiorców, kupców i fabrykantów, żeby razem zaprowadzić panowanie sprawiedliwości na ziemi. Taka myśl spodobała się wszystkim i stało na tym, że założone zostanie stowarzyszenie, do którego będzie mógł należeć każdy robotnik, każdy człowiek, który chce pracować nad wyzwoleniem robotników, bez różnicy narodowości i wyznania. Wybrano natychmiast Radę Główną, która miała się zająć urządzeniem Towarzystwa, miała wejść w stosunki z rozmaitymi robotniczymi stowarzyszeniami w rozmaitych krajach Europy i Ameryki, i zdecydowano, że po dwóch latach ma się zebrać zjazd robotników wszystkich krajów, na którym ostatecznie oznaczy się cel nowego towarzystwa i drogi, po których mu iść wypadnie. W taki to sposób zawiązało się owo sławne Międzynarodowe Stowarzyszenie Robotników.

Po dwóch latach istotnie zebrał się w Genewie w Szwajcarii pierwszy Kongres Międzynarodowego Stowarzyszenia Robotników. Na Kongres przyjechali posłowie od rozmaitych robotniczych stowarzyszeń Francji, Anglii, Szwajcarii, Niemiec i zajęli się ułożeniem prawideł dla Stowarzyszenia. Oto co mówiono w tych prawidłach:

„Wyzwolenie robotników powinno być własną ich sprawą, a praca nad ich wyzwoleniem nie powinna doprowadzić do utworzenia nowych panów, ale zdobyć powinna dla wszystkich ludzi te same prawa i te same obowiązki. Zależność robotnika od kapitału jest przyczyną jego politycznej, ekonomicznej i materialnej niewoli. Toteż wyzwolenie robotnika od tej zależności to wielki cel, do którego się stosować powinny wszystkie polityczne ruchy. Wszystkie walki, które prowadzono dotychczas, nie doprowadziły do szczęśliwych rezultatów dlatego, że nie było zgodności pomiędzy robotnikami rozmaitych fachów w jednym kraju i braterskiej łączności pomiędzy pracującymi w rozmaitych krajach. Wyzwolenie robotników to nie miejscowa ani narodowa sprawa, ale obchodzi ona wszystkie ludy. Nowy ruch robotniczy nie powinien też powtarzać dawnych błędów, a powinien złączyć w jedno wszystkie oddzielne usiłowania”.

W prawidłach powiedziano dalej, że nowe Stowarzyszenie będzie środkowym punktem dla łączenia się i wspólnej pracy robotników wszystkich krajów, którzy dążą do tego samego celu: do wzajemnej pomocy, do postępu i do zupełnego wyzwolenia klas robotniczych. Co rok mieli się zjeżdżać na kongres posłowie od rozmaitych robotniczych stowarzyszeń. Kongres miał obradować nad wspólnymi sprawami robotników i co rok wybierać Radę Główną dla zarządzania ogólnymi sprawami całego Stowarzyszenia. Wszystkie towarzystwa robotnicze jednego miasta, które chciały należeć do Międzynarodowego Stowarzyszenia, łączyły się zwykle w jedną tzw. sekcję. Jeżeli w mieście stowarzyszeń było dużo, to sekcji mogło być więcej, a wtedy wybierały one do kierowania wspólnymi sprawami komitet centralny. Wszystkie sekcje jednego kraju tworzyły *federację* i wybierały jeden *komitet federalny*, który zarządzał wszystkimi sprawami kraju i znosił się z Radą Główną Stowarzyszenia w Londynie.

Za mało tu miejsca, żeby opisywać, co za ogromne znaczenie miało Międzynarodowe Stowarzyszenie Robotników. Z każdym rokiem, z każdym miesiącem, z każdym dniem powiększała się liczba członków Stowarzyszenia; zakładały się co dzień nowe robotnicze stowarzyszenia, nowe sekcje, a dawne stowarzyszenia we wszystkich krajach przyłączały się do Międzynarodowego Towarzystwa. Robotnicy wiedzieli, że mają potężnego obrońcę za sobą. Nie było najmniejszej sprawy robotniczej, za którą by się Stowarzyszenie nie ujęło. Jeżeli w jednym kraju, np. w Szwajcarii, była zmowa mularzy, to w innych krajach brązownicy, stolarze, szewcy itd. itd. zbierali składki i pomagali mularzom do zwycięstwa. Jeżeli przedsiębiorcy chcieli sprowadzić do jakiegoś kraju robotników innej narodowości, dlatego żeby

zniżyć płacę swoim robotnikom, to Międzynarodowe Stowarzyszenie nie pozwalało na to. Jeżeli był spór jaki pomiędzy przedsiębiorcami a robotnikami, to Stowarzyszenie przyjmowało stronę robotników i pomagało im do zwycięstwa. Kongresy zbierały się regularnie co rok: drugi zebrał się w Lozannie, trzeci w Brukseli, czwarty (w 1869) w Bazylei. Na każdym kongresie coraz więcej było posłów (delegowanych) robotniczych. Na każdym też kongresie najprzód zdawano rachunek z tego, jak w każdym kraju stoją sprawy robotnicze i sprawy Stowarzyszenia, potem zajmowano się kwestiami robotniczymi, jak np. kwestią godziniennej pracy, pracy kobiet i dzieci, kwestią stowarzyszeń, podatków, wychowania i nauczania, bezrobocia, zmów, stosunku płacy roboczej i kapitału, kwestią swobód politycznych itp.

Cały świat panów i wyzyskiwaczy zadrżał, bo widział w nowym Stowarzyszeniu śmiertelnego swego wroga, który ich panowaniu koniec położy. W 1870 r. Międzynarodowe Stowarzyszenie doszło do ogromnej siły. W każdym większym mieście zachodniej Europy były sekcje Stowarzyszenia; Anglicy, Francuzi, Niemcy, Włosi, Belgowie, Holendrzy, Szwajcarzy, Amerykanie itd. przyłączyli się do ruchu. Zdawało się, że Międzynarodowe Stowarzyszenie zmieni, odrodzi zupełnie świat i nowe porządki zaprowadzi.

Tymczasem wybuchła wojna pomiędzy Prusami i Francją. Za wojną – Komuna, w której zginęło mnóstwo najdzielniejszych członków Stowarzyszenia. Potem zaczęto wszędzie, w całej prawie Europie, prześladować Stowarzyszenie. W samym Stowarzyszeniu rozpoczęły się spory, kłótnie; dosyć, że po piątym kongresie, w Hadze, w 1872 roku, na którym Stowarzyszenie rozpadło się na dwie połowy, zaczął się upadek. Znaczenie Stowarzyszenia zmniejszało się ciągle, a teraz pozostały tylko jego ślady w Szwajcarii, Belgii, Hiszpanii i Włoszech.

Ale myśl o tym, że takie Towarzystwo, taka międzynarodowa łączność robotników [jest] konieczna, ta myśl nie zaginęła wśród robotników całego świata. Pamiętają oni o tym, jak potężne było ich Stowarzyszenie; pamiętają o tym, że to Stowarzyszenie pokazało robotnikom, dokąd im iść wypada – do objęcia w posiadanie ziemi i narzędzi pracy (na kongresie w Bazylei w 1869 roku).

Teraz szczególnie, kiedy wszystkie rządy tak prześladowają robotników i sprawę robotniczą, kiedy tak okrutnych i podłych używają środków, tak sobie w tych podłościach pomagają – teraz robotnicy wszystkich krajów i narodów muszą na nowo się złączyć, ściśle po bratersku do jednego dążyć celu – do zabrania fabryk i ziemi. Na nowo musi odżyć ta groźna dla wszystkich ludów potęga – międzynarodowa łączność wszystkich robotników.

Łączyć się ze sobą w kraju, poza krajem z robotnikami innych narodowości – oto broń potężna, która do celu doprowadzić was musi.

Złączeni ze sobą, byle mocno, nie damy się. Musimy swoje wywalczyć.